Rozmaitości.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego.

Ner 43.

Zaliczenie na 3 miesiące kosztuje Złp. 3.

Kraków dnia 26 Pazdziernika 1834 roku.

POŻEGNANIE SYNA.

BALLADA.

Idziesz w świat, idziesz móy synu,
Szukać szczęścia w tłumie ludzi;
Nieznajomy złego czynu
Co naylepsze serce złudzi,
Strzeż się go, strzeż jak pożogi,
Jest to ogień bardzo srogi!
On gdy ciebie raz ogarnie,
Wiecznie zostaniesz zgubiony;
Wstyd i sumienia męczarnie
To są złego życia plony.
Oh! strzeż się synu móy drogi,
Zapomnienia téy przestrogi.
Lecz ty płaczesz, i twe usta
Przytulasz do mego łona;
Nieznа jeszcze co rozpusta
Dusza twoja nieskażona;
O! jeszcześ więc nie ubogi,
Gdy posiadasz ten skarb drogi.
W którekolwiek póydziesz strony,
Zostawując mnie w tęsknocie;
Pamiętay, że udręczony,
Pragnę ulgi w twojéy cnocie.
Obym uyrzał ten dzień błogi,
W którym wrócisz z nią w me progi.
Idź gdzie cię powiodą oczy
Lecz pamiętay w każdéy dobie:
Że mnie wieczny sen zamroczy
Jeśli usłyszę o tobie:
Iż wstydząc się prostéy drogi,
Zabrnąłeś w niecne nałogi.
I znów płaczesz! — o już czuję,
Że móy Lindor, móy syn luby;
Życia mego niezatruje.
Lecz żeby uniknął zguby,
Niepewnem stąpieniem nogi:
Jestem oyciec — dam przestrogi.
Strzeż się nierozważnéy młodzi
U któréy nic nie jest święte:
Którą honor mniéy obchodzi,
Byle spełnić żądze wszczęte!
Oh! naysroższe to są wrogi,
Wkorzenione złe nałogi.
Uchodź od potwarców grona!
Piekło przeydą złe języki;
Od nich cnota wyszydzona,
Drży niewinność na ich krzyki.
Niewróć nigdy w moje progi,
Jeźli przeymiesz ten jad srogi.
Bądź pobożnym z przekonania,
Kochay Boga i bliźniego;
Lecz strzeż się naśladowania
Czci świętoszka obłudnego,
Co boskie całując progi,
Knuje w duszy zamach srogi.
Niedbay o zbyteczne zbiory,
Pagardzay niegodziwémi;
Niebądź na rozrzutność skory,
Dziel się ostatkiem z biédnémi.
Na nieszczęścia patrz bez trwogi
Niepyszniy się w dzień twóy błogi.
Krzywdy przebaczay z ochotą,
Strzeż się zelżywego czynu;
Lecz ugozony sromotą,
Nieznieś obelgi móy synu.

Nie groź płocho, — wstydź się trwogi,
Gdy o honor idzie drogi.
Nie kwap się w służbę gotową
Spełnić czyje przedsięwzięcie;
Lecz kiedy już raz dasz słowo,
Dotrzymay go synu święcie.
Zaufanie skarb jest drogi,
Nierzetelność płodzi wrogi.
Idź Lindorze w świat szeroki;
A twego powrotu chwilę,
Jeźli uprzedzą wyroki,
Że mnie już znaydziesz w mogile:
Jeźliś spełnił me przestrogi,
Cieniom oyca wrócisz drogi.

NOC PAMIĘTNA.

(*Dalszy ciąg.*)

Już miałem przebiédz ostatnią bramę, gdy się uczułem schwytanym za suknie. Odchodząc od zmysłów wydzierałem się i rzuciłem moją świécę na stóg siana, który stał przedemną, spodziéwając się tym sposobem oswobodzić. W rzeczy samey puszczono mnie, i rzucono się do gaszenia ognia; ja tymczasem uciekałem daléy. Biegłem na oślep, przez płoty i rowy. Niemógłem już myśléć o zobaczeniu méj żony i dzieci. Chęć zachowania życia przytłumiła we mnie uczucia serca i przyrodzenia; kiedym pomyślał o moim spokoynym powrocie z Pragi, i o tych wszystkich wypadkach, które po nim nastąpiły, wątpiłem o rzeczywistości; ale moje suknie krwią zbroczone, zgroza która mnie przeymowała, wszystko potwierdzało smutną prawdę. Biegłem bez odpoczynku, pókim zupełnie z sił nie opadł. Gdybym miał jeszcze jaki oręż w ręku, gdyby jaki potok znaydował się na drodze, którą przebywałem, pewniebym był położył koniec mojemu życiu. Oblany potem, bez tchu, nie mogąc się prawie na nogach utrzymać, zawszem daley uciekał. Czasem zniewolony byłem zatrzymać się dla wytchnienia, kilka razy małom zupełnie nie omdlał. Takim to sposobem przybyłem do P.... wioski nayblizszey bitego gościńca. Kiedym się namyślał, czy mam iśdź daley, albo oczekiwać wzeyścia xiężyca, dały się słyszeć dzwony mieyskie; inne ze wszystkich wiosek pobliskich, w krótce się odezwały: dzwoniono na gwałt! Każdy dźwięk, który wiatr przynosił, zozdzierał moją duszę; oglądałem się na około; niezmierne bałwany płomieni i kłęby dymu, wzniosły się nad miastem w którym się rodziłem, aż do obłoków, — i ja byłem podpalaczem! O moja żona! o drogie dzieci! jakież przebudzenie przygotowałem wam, własny wasz oyciec! Zdawało mi się, że jakaś istota niewidoma chwytała mnie za włosy, i unosiła nad ziemią. Uciekałem z nieporównaną szybkością. W oka mgnieniu przebiegłem wieś i schroniłem się do bliskiego lasu. Płomienie oświecały pola jakby we dnie, a gwar dzwonów, wskazywał mi mieysca, których powinienem był unikać. Kiedym się już bardzo zagłębił w gęstwinę i niewidział czerwonawey łuny pożaru, która odbijała mój cień w ucieczce, zatrzymałem się dla braku sił. Upadłem, jęcząc na wilgotnym gruncie, bijąc czołem o ziemię i wyrywając w konwulsyach gałęzie i zielska. Chciałbym był umrzeć a nie mogłem. — Krzywoprzysięzca, zabóyca, podpalacz i to wszystko w jedney chwili. Ach! suknia czerwona prawdę mówiła: day mi tylko jeden włosek, a będę miał w krótce całą twoją głowę! Co za okropne przeznaczenie sprowadziło mi tego człowieka; bez niego, niewidziałbym Julii, niezapomniałbym o Emmie, niepopełniłbym zabójstwa, niepodpaliłbym miasteczka w którém uyrzałem piérwsze światło; niebyłbym tutay pogrążony w rozpaczy, zgrozą samemu sobie i przeklinanym od moich rodaków! Jednakowoż dzwony nieprzestawały rozlégać i pomnażać mego przestrachu. — Winszowałem sobie, że jeszcze nie dniało. Miałem nadzieję, że będę mógł uciekać, póki się niepokaże jutrzenka. Ale łzy mi płynęły obficie kiedym sobie wspomniał, że dzień nadchodzący, był piérwszym maja, dniem urodzin Emmy; tą rocznicą, którą zwyczaynie obchodziłem na łonie mojéy rodziny, pośród przyjaciół! — Inna znowu myśl przyszła mi do głowy. Ta noc,

wilija maja, była także nocą S. Walpurgii!— Szczególne przeznaczenie! Dawne zabobony uważają tę noc za straszną, w którey dusze wychodzą ze swych grobów, a szatan i jego sprzymierzeńcy zgromadzają się, aby wspólnie obchodzili szabas na szczycie góry Bloksberg (*). Suknia czerwona i szczególna jey właściciela rozmowa, przyszły mi na myśl. Na cóż się mam zapierać? Oddałbym był moją duszę, ażeby on był tym, za kogo chciał żartem uchodzić w pawilonie, i aby mi mógł powrócić życie spokoyne, moją żonę i moje dzieci. Ale gwar i jęk żałobny dzwonów, rozlegał nieustannie. Uczułem chłód ranny. Wyrwałem się z mojego schronienia, a przedarłszy się przez gęstwinę, wyszedłem aż na drogę. Zatrzymałem się nadstawiając ucha na to, co się koło mnie dzieje. Łuna odbijała się pomiędzy drzewami. Podniosłem rękę i uyrzałem, że jest zbroczona krwią starosty. Zdarłem z siebie suknie i schowałem je w gęstych krzakach, potém obtarłem ręce o murawę rosą zwilżoną. Porwałem się na wpół odziany i uciekałem drogą. Któż ty jesteś? mówiłem do siebie. Obłąkani jedynie i złoczyńcy przebiégają drogi w takim jak ty stanie. — Ułożyłem sobie, powiedzieć piérwszemu włościaninowi którego spotkam, że zostałem okradziony i prosić, aby mi sprzedał jaką siermięgę albo kaftan. Tak przebrany, mógłbym się dostać do jakiego miasta i tam żyć spokoynie. W tém przypominam sobie, żem zostawił w sukni, którą w krzakach ukryłem, móy pugilares zawiérający bilety bankowe. Zatrzymałem się wachając. Chciałem na chwilę powrócić po pugilares; ale krew starosty! niemogłem zdobydź się na to, ażeby ją jeszcze raz zobaczyć, choćbym tam znalazł i milijon. A do tego powracać drogą, gdziebym ustawicznie miał przed oczyma obraz pożaru.... Nie, raczéy płomienie piekła! I znowu zacząłem uciekać. Jednym razem posłyszałem turkot powozu. Schroniłem się do lasu, skąd mógłem wszystko uważać. Drżałem jak liść wierzbowy. — Ciężki pojazd, opakowany rzeczami, toczył się z wolna. Mężczyzna siedzący w powozie, sam kierował leycami. Zatrzymał konie prawie na przeciwko mnie. Zsiadł, obszedł na około pojazd, obeyrzał wszystko troskliwie, potém się oddalił i wszedł do części lasu, stojącego na przeciwległéj stronie drogi. Mógłbym się ocalić, dostawszy się do tego pojazdu! mówiłem sobie. Nogi mnie bolą. Zapewniłbym sobie odzież i szybką ucieczkę. Samo niebo ulitowało się nademną. Korzystaymy z téy sposobności!— Jednym skokiem byłem na gościńcu i wskoczyłem do kolaski. Porwałem leyce i zwróciłem konie, w kierunku przeciwnym od miasta. W téy chwili właściciel powozu wyszedł z lasu i rzucił się przed konie, w ten czas, kiedym je chciał biczem zaciąć. Podwoiłem razy, konie zaczęły się wspinać i ruszyły cwałem, a nieszczęsny podróżny legł pod ich nogami. Przejechałem po nim, i słyszałem jego jęki. Żałosne narzékania rozdziérały mą duszę. Był to głos dobrze mi znany, głos miły. Niemogłem dać wiary uszom moim. Zatrzymałem się, wyjrzałem z pojazdu dla zobaczenia nieszczęśliwego. Był to on!... Wzdrygam się jeszcze na to wspomnienie,—zobaczyłem mojego brata! Ukończywszy swe zatrudnienia w Pradze, powracał do nas. Jakby piorunem uderzony, stanąłem wryty, skamieniały. Moja ofiara wydawała jeszcze jęki. Ledwiem się zawlókł do niéj. Rzucam się na ciało nieszczęśliwego brata. Koło zgniotło mu piersi. Wołam na niego drżącym głosem. Już mnie niesłyszał, przestał ciérpieć!... Całowałem jeszcze jego zlodowaciałe czoło, kiedym posłyszał krzyki w lesie. Zrywam się w największym przestrachu i wpadam w gęstwinę, zostawując trupa przy koniach i powozie. Chęć ocalenia tylko odzywała się we mnie, reszta była mi obojętną. W przerażeniu, przedziéram się śród cierni i głogów, ku mieyscom, gdzie krzaki były ciemnieysze i

(*) Noc S. Walpurgii jest gminnym zabobonem w Niemczech. Ma to bydź ogólna schadzka wróżek, wieszczów, czarowników w nocy z 30 Kwietnia na 1 Maja, którzy zgromadzają się na górze Blosksberg, tak jak w Polsce na Łyséy górze.

większa gęstwina, a sto głosów powtarzało w uszach moich te słowa: «Kaim, morderca własnego brata!»— Znużony usiadłem na urwisku skały, wpośród lasu. Słońce zeszło, anim tego spostrzégł. Nowe życie ożywiło przyrodzenie. Straszna noc Walpurgii już była daleką odemnie, ale jey widma ciągle mnie otaczały. Widziałem moją Emmę zapłakaną, moje dzieci siérotami i całą rodzinę wżałobie po moim nieszczęsnym bracie. Życie w téy chwili stało mi się ciężarem. Wolałbym, żeby mnie starosta był przeszył sztyletem, kiedym uchybił wiary, którą tysiąc razy zaprzysięgałem Emmie. Czemuż niemiałem tyle odwagi iśdź uściskać po raz ostatni żonę i dzieci, a potém wskoczyć pośród płomieni. Niebyłbym popełnił bratobóystwa.— Chciałem sobie już odebrać życie, ale wkrótce tę myśl odrzuciłem. Postanowiłem raczéy oddać się w ręce władzy i wyznać wszystkie moje zbrodnie. Tym sposobem, zostawała mi przecięż nadzieja, że zobaczę moją małżonkę i dziatki, uzyskam przebaczenie Emmy, urządzę móy majątek i zostawię jakie rady rodzinie, nim się z nią na zawsze rozstanę. Ta myśl uśmiérzała nieco moje ciérpienia. Wstałem i szedłem, sam niewiedząc dokąd. W tém udręczeniu, zapomniałem nawet, z któréy przyszedłem strony. Las mnie na około otaczał. Idąc długo napotkałem inną drogę i udałem się nią bez bojaźni i pomięszania. Tentent koni dał mi się słyszeć. Miłość życia obudziła się we mnie. Podwoiłem kroku i wkrótce przybyłem do mieysca, gdzie się droga zakręcała: uyrzałem wywrócony powóz, którego koło było złamane, i z wielkiém przerażeniem mojém albo też radością, suknię czerwoną stojącą przy koniach.

(Dokończenie nastąpi.)

ANEKDOTKI.

Mowca izby deputowanych. — W czasie ostatnich posiedzeń izby deputowanych Francyi, jeden z członków nowo obranych, który ustawicznie wyrywał się tz długiémi rozprawami, rzekł raz do swego kollegi z ryumfującą miną: »Ze też WPan nigdy ust nieotworzysz!....— Mylisz się przyjacielu, odpowie tamten z uśmiéchem, bo ile razy WPan mówisz, to mię właśnie aż bolą od poziéwania!» —

Przywrócenie ufności w Bogu. — Fryderyk W. obiadując pewnego dnia z ministrem stanu hrabią Szwerynem, rzekł: »Wiem, że często bywasz w kościele, ale powiédz mi szczérze, maszże też ty ufność w Panu Bogu?— Hrabia odpowiedział: »Nayjaśnieyszy Panie, zawsze wierzyłem i wierzę iż Pan Bóg jest miłosierny, ale co na mnie to wcale nie!— Dla czego nie?— Dopuściłżeby inaczéy tak strasznego pożaru, który wniwecz obrócił moje dobra, a nadewszystko moich poczciwych kmiotków.» — Król na tém ucichł.— Nazajutrz spotkawszy hrabiego na pokojach, rzekł:— Czy umiész sny wykładać?— Niebardzo.— Śniło mi się téy nocy, że byłem na moment w niebie i rozmawiałem, co na to powiész, z Panem Bogiem!— Tego ja wytłumaczyć W.K.Mości niepotrafię, chyba gdybym przynaymniéy kilka słów téy rozmowy miał sobie wyjawionych.— »Oto kiedy ci mam prawdę powiedzieć Bog miłosierny, rozkazał mi, ażebym ci twe dobra do dawnego stanu przywrócił i wszystko z gruntu odbudował. A ponieważ taka jest jego wola, przed chwilą więc wydałem assygnacyą i stósowne rozporządzenie w téy mierze.— Naypokorniéy W.K.Mości dziękuję.— Lecz jakże teraz będzie z twoją ufnością w Bogu?— Teraz Nayjaśnieyszy Panie, wierzę znowu że Bóg jest i dla mnie miłosierny, i że Wasza Królewska Mość jesteś narzędziem Jego łaski.» —

Francuz w Amsterdamie.— Niedawno młody francuz przechodząc się po ulicach Amsterdamu, uwielbiał piękność pewnego domu nad kanałem,— i stojącego w bliskości hollendra zapytał w swym języku: »Proszę WPana kto jest właścicielem tego pięknego domu?— Hollender nierozumiejąc ani słowa po francuzku, odpowiedział: »*Ik kan niet verstaan.*» (*)—Młody francuz pewnym będąc, że został zrozumiany, wziął odpowiédź tę za nazwisko właściciela domu, który go tak zachwycił.— »A ha! więc ten dom należy do Pana Ikanitferstaan! Co za prześliczna budowla!» — Idąc nazajutrz ulicą téy saméy części miasta, postrzega piękną kobiétkę prowadzoną pod rękę przez młodego mężczyznę i pyta kogoś z przechodzących: Kto jest ta dama?— *Ik kan niet verstaan* odpowiedział spytany.— »Ach! to jest żona P. Ikanitferstaan, jakże mu jéy zazdroszczę!» Uszedłszy kilkanaście kroków, słyszy trąbienie i bębnienie przed gmachem loteryi, ogłaszające naywyższą wygraną, która z półtora miliona wynosiła. »Ach! któż jest ten szczęśliwy, (zapyta jakieyś staruszki), co w oka mgnieniu został milijonowym Panem?— *Ik kan niet verstaan*, odpowiedziała kobieta.— Ach to już trzeba szalenie bydź szczęśliwym!... zawoła Francuz. »Osobliwszy jakiś człowiek ten Pan Ikanitferstaan! ma piękny dom, piękną żonę, i do tego półtora miliona jakby z nieba mu spadło!..»— W kilka dni spotyka wóz pogrzebowy, na którego szczycie wspaniała trumna, zwiastuje mu zgon kogoś bogatego;— i zapytuje o imie nieboszczyka?— »*Ik kan niet verstaan*» odpowiada mu jakiś kupczyk z niechęcią, spiesznie idąc w swą drogę.» — »Ach! biedny Pan Ikanitferstaan zawołał młody paryżanin z politowaniem; mieć piękny dom, piękną żonę, półtora milijona gotówki i umiérać!....— *Pauvre diable que ce Monsieur Ikaniferstaan!..*» — Zasępiony tym smutnym widokiem, postanowił przepędzić wieczór na resursie kupieckiéy, gdzie właśnie dawano bal z powodu jakiéyś uroczystości. Zaledwie wchodzi na salę, piérwszą z dam która go uderza w oczy, była ta sama mniemana Pani Ikanitferstaan, tańcująca w nayweselszym humorze z jakimś officerem od marynarki!— Widok ten oburzył go tak dalece, że natychmiast wrócił do siebie niemówiąc już słowa nikomu, i całą tę okoliczność opisał w liście do przyjaciela w Paryżu.— W kilka dni zaraz, czytano w wielu dziennikach paryzkich nieszczęśliwą historyą Pana *Ikanitferstaan* w Amszterdamie i sążnistą naganę niemoralności i złego serca dla Pani *Ikanitferstaan*, która prosto z pogrzebu swego męża, pojechała na bal kupiecki.

(*). Znaczy: »*Nierozumiem WPana.*»